

M I C H A E L P A L I N

# B R A Z Y L I A

Wszelkie prawa zastrzeżone. Publikacja fragmentów wyłącznie za zgodą wydawcy.

Copyright © for Polish edition: Insignis Media, Kraków 2014

przekład: Michał Józwiak

## Dzień 1 · Demini, stan Roraima

Pierwsze witają nas psy. Nasz pilot, Francisco, delikatnie wyhamowuje samolot na końcu wyboistego trawiastego lądowiska, a sfera pędzi w kierunku awionetki z dzikim ujadaniem, rozochocona hałasem silnika i przybyciem intruza. W tle, w drzwiach dwóch czy trzech budynków, które składają się na lotnisko w Demini, pojawiają się ludzkie sylwetki.

Tu, w odległym zakątku lasu deszczowego w północno-zachodniej Brazylii, każdy gość z nieba witany jest z nadzieją. Nie prowadzą w to miejsce żadne drogi ani nawet żeglowna rzeka. Jedyne połączenie ze światem zewnętrznym stanowią samoloty.

Na końcu lotniska stoi stacja paliwowa i niewielka klinika obsługiwana przez zmieniające się raz w miesiącu pielęgniarki. Do dyspozycji jest również kuchnia i sprzęt telekomunikacyjny. Czeka na nas świeżo parzona kawa.

W czasie gdy my wyladowujemy bagaże, z lasu, do którego prowadzi wąska ścieżka, wylaniają się postaci. Pierwsi idą ciekawscy mali chłopcy w czerwonych szortach, którzy ze swoimi czarnymi włosami, ciemnymi oczami i jasnobrązową skórą byliby równie na miejscu po przeciwnej stronie Pacyfiku, w Indonezji albo nawet w Chinach. Za nimi podążają, nieco ostrożniej, młode dziewczęta, a wraz z nimi starsze kobiety, z których większość nie ma na sobie nic poza krótkim, ozdobnym, czerwonym fartuszkami okrywającym biodra. Młodzi mężczyźni – jak to młodzi mężczyźni na całym świecie – wkraczają na scenę buńczucznym krokiem, który ma zamaskować brak pewności siebie. Mają przy sobie łuki i bardzo długie bambusowe strzały ze spiczastymi drewnianymi grotami. Podczas gdy kobiety przyglądają się z odległości, stojąc w cieniu rzucanym przez okap kliniki, mężczyźni otaczają naszą grupę kołem i oceniają nas z zainteresowaniem. Jeden z nich naciąga łuk i posyła strzałę wysoko w niebo, a następnie, wyczuwając zapewne, że się zbłąźnię, podaje mi broń i sygnalizuje, żebym powtórzył jego wyczyn. Uwolniona przeze mnie strzała przelatuje może pięć metrów, po czym uderza w ziemię z głuchym łoskotem, co wywołuje falę rechotu. Wydaje się jednak, że spodobało im się, że w ogóle spróbowałem. Kiedy wyciągam notes, zbierają się wokół mnie, bardzo zaciekawieni. Mężczyzna od łuku prosi o mój długopis, po czym płynnym pismem zapisuje na kartce coś w swoim języku. Innemu podoba się mój słomiany kapelusz i bez cienia żenady zdejmuje go z mojej głowy i zakłada na własną.

Przyjazne nastawienie moich nowych znajomych bardzo mnie uspokaja, bowiem należą oni do plemienia Janomamów, którego członkowie mają reputację nieustraszonych i często okrutnych

wojowników. Janomamowie to jeden z około dwustu rdzennych ludów, które ostały się z czasów prekolumbijskich. Szacuje się, że kiedy Portugalczycy zaczęli osiedlać się tu na początku XVI wieku, na terytorium Brazylii żyło około pięciu milionów Indian. Dzisiaj, z powodu tragicznych skutków niewolnictwa, chorób oraz utraty ziemi na rzecz wycinki lasów, rolnictwa i górnictwa, zostało ich w najlżejszym razie jakieś trzysta tysięcy.

Maloca (osada) tej konkretnej grupy Janomamów, w której spędzimy noc, leży trochę ponad trzy kilometry piechotą od kliniki. Opuszczamy więc lądowisko, a wraz z nim cywilizację, i wchodzimy w głąb lasu śladem naszych gospodarzy. Wrażenia ze spaceru są niezwykle – światło delikatnie przesącza się przez korony drzew, a dookoła panuje nadzwyczajna cisza zakłócana jedynie przez przytłumione głosy i okazjonalne skrzeczenie ptaków. Po czterdziestu minutach na końcu ścieżki wyrasta nagle maloca. Widzimy podłużną, owalną konstrukcję wielkości niewielkiego boiska do piłki nożnej, która mimo imponujących rozmiarów z łatwością wtapia się w otaczający las. Tyłu budynku strzeże gładka, masywna wychodnia szarego granitu porośnięta chaszczami.

Olbrzymi okrągły dom stanowiący serce osady, który w miejscowym języku nosi nazwę yano, ma około czterystu metrów obwodu. Zewnętrzna ściana składa się z kłębowiska belek i desek, nad którym wyrasta dach z liści palmowych opadający pod ostrym kątem w kierunku centralnego placu wysypanego piaskiem. Dach przykrywa pas ziemi o szerokości około piętnastu metrów, a znajdująca się pod nim przestrzeń poprzecinana filarami i belkami służy za schronienie dla około stu osiemdziesięciu osób. Hamaki i przestrzenie mieszkalne znajdują się w głębi zadaszenia, natomiast część od strony placu służy do przemieszczania się. Nie ma ścian ani przepierzeń. W związku z tym nie ma też gdzie się skryć przed wzrokiem pozostałych mieszkańców kręgu. Brak osobnych pokoi nie przeszkadza jednak szanować cudzej prywatności i wcale nie czuję się obserwowany, kiedy gospodarze pomagają mi rozpiąć hamak.

Do lat pięćdziesiątych wiadano o Janomamach bardzo niewiele. Izolacja pozwoliła im żyć w taki sposób, w jaki prawdopodobnie robili to od tysięcy lat – polując, łowiąc ryby i zbierając dziko rosnące w lesie rośliny takie jak banany, pochrzyn, maniok i kukurydza. Następnie, jak pisze John Hemming w *Tree of Rivers*, historii dorzecza Amazonki: „Ten spokój padł ofiarą trzech wynalazków: samolotu, piły łańcuchowej i buldożera”. Działalność korzystających z nich ludzi niemal doprowadziła do wyginięcia Janomamów. Co więcej, pod koniec lat osiemdziesiątych na te odległe tereny dotarła gorączka złota, która przyciągnęła do lasu garimpeiros – poszukiwaczy złota – w liczbie dającej im znaczną przewagę nad ludnością tubylczą. Wycięto mnóstwo drzew, a strumienie i rzeki zatruto rtęcią wykorzystywaną do wyplukiwania złota. Tej nowej inwazji towarzyszyły alkohol, prostytutka i nowe choroby, między innymi syfilis. Mimo wyznaczenia linii demarkacyjnej mającej na celu ochronę terenów plemiennych pogoń za kruszcem trwała w najlepsze do 1993 roku, kiedy zabójstwo znacznej liczby indiańskich mężczyzn, kobiet i dzieci oraz próba jego zatajenia przez spalenie ciał przekonały wreszcie rząd do podjęcia poważniejszych działań mających na celu usunięcie garimpeiros. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat miejscowa organizacja pozarządowa w ścisłej współpracy z Janomamami doprowadziła do znacznej poprawy ich warunków życia. Przyszłość plemienia rysuje się w jaśniejszych barwach niż kiedyś, a jego liczebność, wliczając w to również populacje żyjące po drugiej stronie granicy z Wenezuelą, przekroczyła dwadzieścia tysięcy.

To, że mogłem tu tak po prostu przylecieć, wywołuje we mnie mieszane uczucia. Trzy godziny od drzwi hotelu w Boa Vista do drzwi maloki. Co prawda jedynym, co skłoniło mnie do przyjazdu, była chęć zobaczenia, jak ci ludzie żyją, ale odnoszę wrażenie, że nie mam nic, co mógłbym im zaproponować w zamian. Okazuje się jednak, że nie jest to do końca prawda. Wraz z upływem czasu Janomamowie nauczyli się doceniać wartość public relations. Zdają sobie sprawę, że jedni przyjezdni mogą zaszkodzić, a inni pomóc, a zatem powinni starać się imponować tym dobrym i odpędzać tych

złych. Davi Kopenawa Yanomami, który przywitał nas w malocie pomalowany w tradycyjne wzory i ustrojony w ozdoby z piór, od dłuższego czasu pełni rolę rzecznika brazylijskich Indian na całym świecie. Doskonale wie, że ludzie mojego pokroju, którzy przyjeżdżają tu w dobrej wierze, najprawdopodobniej przedstawią światu zewnętrznemu atrakcyjny, sympatyczny obraz Janomamów, co im pomoże chronić się przed dalszymi prześladowaniami.

Gospodarze organizują dla nas tańce. Choć wszystko tutaj dzieje się w leniwym tempie, przygotowania same w sobie są fascynujące. Uczestnicy zaplanowanej na popołudnie uroczystości gromadzą się na słonecznej leśnej polanie – mężczyźni po jednej stronie, kobiety i dzieci po drugiej. Zastawiony szczotkami i farbami pień służy za stół do makijażu. Na początek wszyscy, pomagając sobie nawzajem, nacierają się czerwonym barwnikiem ze zmielonych nasion kwiatu urucum, który pełni funkcję podkładu, a jednocześnie odstrasza owady i chroni przed poparzeniem słonecznym. Na to starannie nanoszą różne wzory. Twarze dzieci malują w równoległe pasy. Dużo uwagi poświęcają włosom, wykorzystując do tego lusterka w oprawkach z różowego plastiku. Starannie układają na piersiach naszyjniki z żółtych plastikowych kulek. Chłopcy, krążąc, ostrzą strzały; nosy i okolice ust mają przebite drewnianymi igłami, przez które wyglądają, jakby byli właśnie w trakcie zabiegu akupunktury. Mężczyźni przywdziewają na kostki i nadgarstki opaski ozdobione pękami piór tukana. Na koniec mężczyźni i chłopcy zdobią włosy białym puchem z piersi harpii wielkiej.

Przygotowania posuwają się bez pośpiechu, ale w końcu orszak rusza ścieżką prowadzącą do maloki. Przodem idzie jeden z najmniejszych chłopców. Za nim suną kobiety, niektóre z dziećmi na barkach, a za nimi z kolei przybierający groźne pozy mężczyźni. Grupa najpierw zbiera się pod jednym z wielkich mangowców, a potem wchodzi na teren yano i pochód przeradza się w taniec. Prowadzą kobiety. Wdzięcznie okrążają dom, sześć kroków w przód, dwa kroki w tył. Mężczyźni, odgrywający rolę myśliwych, podążają za nimi, tupiąc, wymachując włóczniami i dziko skandując. Mimo że jest strasznie gorąco, taniec trwa dłuższy czas, a kiedy kobiety kończą swoją partię, mężczyźni ustawiają się w rzędzie pośrodku skapanego w słońcu placu i zaczynają krzyżeć oraz podskakiwać. Na koniec wszystkich mieszkańców wioski, niezależnie od wieku, czeka nagroda – rozlewany z wielkich wiader gęsty, fermentowany sok z owoców wilhelmki wytwornej, zwanej po portugalsku pupunha. Jej jagody o czerwonej skórce i brzoskwiniowym miąższu są bogate w białko, skrobię i witaminy. Ten napój na pewno zawiera sporo alkoholu, a wśród mężczyzn panuje wyraźne współzawodnictwo w kwestii tego, komu uda się wlać w siebie najwięcej. Co ciekawe, nie dość, że nikt nikogo nie strofuje, że wypił za dużo, to dostarczaniem świeżych porcji starszym mieszkańcom zajmują się dzieci. Picie soku to wielka wspólna zabawa, więc kiedy otrzymuję propozycję, by go spróbować, z wdzięcznością ją przyjmuję. Kiedy odmawiam wypicia kolejnej napełnionej po brzegi miski, zainteresowanie naszą ekipą gaśnie, a grupka, która proponowała mi sok, przyłącza się do reszty biesiadników. To w końcu ich zabawa.

Dzień dobiega końca. Uczestnicy uroczystości rozeszli się do swoich hamaków, zmorzeni alkoholem. Niektórzy wcześniej sięgnęli do słoiczek porozwieszanych tu i ówdzie na drewnianych filarach i wciągnęli szczyptę bądź dwie chroniącej przed uczuciem głodu i pragnienia halucynogennej tabaki wytwarzanej z żywicy drzewa epena. Niejako parodiując nastrój panujący w yano, trzymany przez naszych gospodarzy młody leniwiec niezwykle powoli posuwa się wzdłuż jednej z belek dachowych. Jediną osobą znajdującą się poza częścią sypialną jest rozżłoszczona kobieta z miotłą, uganiająca się za pokrytym czarną szczecinań pekarci, które przez cały dzień pałętało się po domu, doprowadzając psy do szału. Kobieta w końcu wypędza je przez jedno z drzwi, a świnia stoi w nich przez chwilę, prychając z oburzeniem, po czym pochyla swój wielki, okrągły ryj i wraca do obwąchiwania ziemi w poszukiwaniu jedzenia.

Po zapadnięciu zmroku otacza nas niemal całkowita ciemność, przecinana tylko miejscami przez żar małych ognisk rozpalonych dookoła maloki w celu odstraszania owadów i zapewnienia odrobiny

ciepła wczesnym porankiem. Śpię w hamaku, jak wszyscy. Mężczyzna obok mnie kołysze się delikatnie, mruczając coś pod nosem. Ma zmierzwiłone włosy i żuje nieodłączny tytoń. Zwróciłem uwagę, że sprawia wrażenie nieco zagubionego i większość członków społeczności traktuje go trochę tak, jakby nie istniał. Wcześniej, podczas mycia zębów, słyszę karaluchy biegające wzdłuż ogrodzenia.

Budzę się w środku nocy. Jest bardzo ciemno i cicho, ale muszę załatwić potrzebę. Włączam latarkę i kieruję się do jednego z wyjść, okazuje się jednak, że wszystkie drzwi są solidnie pozamykane. Odblokowuję jedne z nich i ruszam w kierunku najbliższych krzaków. Dookoła mnie tańczą świetliki. Nagle gdzieś z niedaleka dociera do mnie odgłos pochrząkiwania i sapania, który sprawia, że zamieram w bezruchu. To wygonione wcześniej pekari stoi kilka kroków ode mnie i mierzy mnie nieprzyjaznym wzrokiem. Kiedy wracam do yano, w wejściu stoi jakaś kobieta. Wpuszcza mnie, uśmiecha się, po czym zamyka drzwi i zabezpiecza je skoblem. Dociera do mnie, że w otoczeniu maloki czają się zagrożenia i robi mi się wstyd, że swoim zachowaniem naraziłem całą społeczność na niebezpieczeństwo.

## **Dzień 2 · Demini, stan Roraima**

Budzi mnie odgłos potężnej ulewy, który po chwili okazuje się dźwiękiem wydawanym przez wiatr targający strzechą z liści palmowych nad moją głową. Niedaleko mnie jeden z mężczyzn zaczyna mówić głośnym, wyraźnym głosem. Przemówienie trwa prawie pół godziny i brzmi jak kazanie, ale nie wywołuje żadnej reakcji u mieszkańców, a kiedy próbuję się później dowiedzieć, czego dotyczyło, nikt nie potrafi mi tego powiedzieć. Mężczyzna, który spał obok mnie, zniknął, a jego miejsce zajął ktoś inny. Wyskakuję z hamaka, zabieram ręcznik i torbę z przyborami toaletowymi i ruszam przez plac w kierunku strumienia płynącego na tyłach wioski. Jestem sam. Rozbieram się, zostawiam ubrania na granitowym głazie i kładę się na wznak w chłodnej, czystej, płytkiej wodzie. Żółte motyle fruują, niemal dotykając powierzchni strumienia, a wysokie drzewa prowadzą mój wzrok w kierunku odległej, niebieskiej chusty nieba.

Kiedy pierwsi Janomamowie pojawiają się nad strumieniem, jestem już umyty i ubrany. Młodzi mężczyźni, chodzący z rękami skrzyżowanymi na piersiach, witają się ze mną z uśmiechem wskazującym na to, że ich bawię. Niektórzy mówią mi „dzień dobry” po portugalsku. Po powrocie do maloki odkrywam, że wypędzone w nocy pekari z powrotem się tam dostało. Usiłują go nękać psy, ale stwór stawia im czoła – jest brzydki, ponury i imponująco niewzruszony.

Dzisiejszego poranka członkowie społeczności sprawiają wrażenie wyczerpanych. Dowiaduję się, że większość młodych mężczyzn i kobiet poszła do ogrodów znajdujących się w pewnej odległości od osady. Dwie starsze kobiety zabrały się tymczasem za przygotowywanie manioku, jednej z podstaw żywienia Janomamów. Z niego wytwarza się między innymi mączkę zwaną kassawa. Maniok jest jedną z najstarszych roślin uprawnych znanych człowiekowi, ale ze względu na zawartość substancji toksycznych wymaga starannej obróbki. Doprowadzenie go do stanu, w którym może być bezpiecznie spożywany, pochłania wiele pracy i czasu. Polega na obieraniu, tarciu, mieleniu i gotowaniu. Gotową masę maniokową rozwalcowuje się w cienkie, okrągłe placki i wrzuca na dach do wysuszenia.

Jestem zaskoczony sprawnością, z jaką funkcjonuje maloca. Wszystko, co mieszkańcy posiadają, jest z założenia wspólne. Nie ma ścian, za którymi dałoby się chować rzeczy na własny użytek. Szczególnie silna wydaje się więź między matkami a dziećmi. Małe dzieci spędzają większość czasu w kontakcie cielesnym z matką i tylko sporadycznie zdarzyło mi się słyszeć odgłosy płaczu bądź karcenia, które w naszym oświeconym świecie traktujemy jako coś normalnego.

W malocze jest kilku mieszkańców starszych rangą, ale nie ma nikogo, kto miałby rzeczywistą władzę. Davi, szaman tej konkretnej społeczności i ambasador wielu plemion indiańskich, to człowiek, którego wyróżniają godność osobista i doskonała świadomość tego, co niesie przyszłość. Na rozmowę z nami, która rozpoczyna się dość niefortunnie, przychodzi ubrany w ozdobny pióropusz.

„Davi – zagajam – mieszkacie w jednym z najodleglejszych zakątków świata...”

Resztę moich słów zagłusza samolot przelatujący nisko nad drzewami. Wszyscy wybuchają gromkim śmiechem. Próbuje jeszcze raz.

„Davi, czy z racji tego, że jesteście tu tak odcięci od...”

„Przykro mi, ale będziemy musieli przerwać – mówi Seb, nasz dźwiękowiec. Wskazuje palcem w górę. – Następny samolot”.

Czekamy cierpliwie, aż uspokoi się nad tym węzłem lotniczym północno-zachodniej Brazylii, po czym pytam Daviego, czy w pierwszej kolejności uważa siebie za Brazylijczyka, czy Janomama. Choć odpowiada, że czuje się Janomamem, przyznaje też, że plemię bardzo skorzystało na pewnych aspektach integracji ze światem zewnętrznym. Szczególnie jeśli chodzi o opiekę zdrowotną. Dzięki klinice i lotnisku choroby takie odra czy malaria zbierają o wiele mniejsze żniwo niż kiedyś. Na malarię nikt nie umarł przez kilka ostatnich lat. Istnieją jednak inne zagrożenia. W Brazylii wciąż są ludzie, których zdaniem poszukiwacze złota mają takie same prawa do tej ziemi co Indianie. Rolnicy chcieliby zacząć wycinać las pod hodowlę krów, wojsku zależy na przejściu i umocnieniu terenów granicznych, a państwo planuje budowę wielkich tam, które spowodują wyschnięcie rzek eksploatowanych przez Janomamów. Davi cieszy się, że przyjechaliliśmy, żeby pokazać światu, jak żyje jego plemię, ale uważa też, że jeśli rzeczywiście zależy nam na ochronie ich kultury, to po powrocie do domu powinniśmy zacząć protestować przeciwko naszym rządowi, bo to one zapewniają wsparcie firmom, które inwestują w Brazylii, nie przejmując się sytuacją rdzennej ludności.

„Jesteśmy ludźmi lasu – mówi cicho, ale z naciskiem. – To my wiemy, jak o niego dbać”.

Przed wyjazdem mamy okazję zobaczyć jeszcze jeden dowód na to, jak błyskawicznie kontakt ze światem zewnętrznym wpłynął na życie Janomamów. Niedaleko maloki mieszkańcy osady wycięli kawałek lasu, żeby zrobić miejsce na boisko do piłki nożnej. Nie należy ono do najrówniejszych, ale jest na nim wszystko, czego potrzeba – dwie bramki i dwie entuzjastycznie nastawione drużyny. Wyposażenie obejmuje obuwie (opcjonalne) oraz szorty. Pojawiają się też pasiaste koszulki i skarpetki – namalowane na skórze klatki piersiowej i łydek. Mimo nieubłaganego upału zawodnicy dają z siebie wszystko i chcą przechwycić każde podanie. Miło się na to patrzy, ale też stanowi to potwierdzenie, że obyczaje Janomamów uległy bezpowrotnym przemianom, a czasy izolacji dobiegły końca.

Wracamy na lotnisko, idąc nieśpiesznie przez emanujący spokojem las i rozmyślając nad tym, co zobaczyliśmy. Francisco, nasz pilot, już czeka, od czasu do czasu nerwowo spoglądając w niebo.

Wymieniamy ostatnie pożegnania i wdrapujemy się na pokład. Pas startowy i budynki lotniska znikają w oddali. Przez pierwszą godzinę z okien samolotu nie widać nic poza lasem deszczowym, który spowija pagórkowaty teren szczelną warstwą we wszystkich odcieniach zieleni, przerywaną miejscami przez jaskrawe kleksy fioletowego i żółtego kwiecica. Gdzieś tam prześwitują cienkie, meandrujące rzeczki, które chwilę później giną w gąszczu. Nie widzę niczego, co by przypominało ścieżkę albo szlak. Po pewnym czasie krajobraz ulega zmianie. Ziemia robi się płaska, las zastępują rozległe, pokryte trawą łąki i rozsypane tu i ówdzie uprawy soi, a na koniec naszym oczom ukazuje się lotnisko z prawdziwego zdarzenia. Chwilę później jesteśmy znów na ziemi.